

— Podłe oszczerstwo! Już ani słowa! Zabraniam panu powtarzać takie kłamstwa. Jeżeli tak było, czemuż owej zbrodniarki nie oddano sądowi?

— Bo nie było dowodów prawem wymaganych.

— Więc jak pan śmiesz miotać takie straszne obelgi na niewinną kobietę, która za godzinę będzie moją żoną?

— Śmiej, mości książe, bo mi na to pozwala sumienie, a rozkazuje mi honor. To nie oszustwa, to nie obelgi, to nie kłamstwa, ale prawda, straszna, bolesna prawda. Książe, zlituj się nad ojcem, matką, krajem, nad swoim honorem, i odepchnij od siebie tę... syrenę...

— Milcz! krzyknął książe w największym oburzeniu. Nie wierzę panu, nie wierzę wam wszystkim oszczercom, niegodziwczy. Oddałam pana. Proszę natychmiast wracać i wnieść w tej chwili prośbę o uwolnienie ze służby adjutanta.

To rzekłszy, odwrócił się książe i pognął nie spojrzawszy na adjutanta, a hrabia Buchenau spoglądał za nim z bolesnym wyrazem twarzy, wreszcie odjechał do stolicy.

Klara wystrojona, dumna, jakoś szatańsko wspaniała, była zupełnie gotowa. Zaczęła się już niecierpliwić i niepokoić, gdy książe wpadł do pokoju rozdrażniony, gniewny, nie zdolawszy stłumić w sobie oburzenia na przestrogi adjutanta. Zaniepokojona Klara, spytała księcia z uśmiechem kokieteryjnym, lubieżnym, którym władała znakomicie:

— Cóż to? chmura na czole mego cudownego księcia? Teraz? w takiej chwili?

I zionęła na księcia gorącym, namiętnym oddechem, a oczyma wpiła mu się w mózg, w szpik kości, w krew. Książe zapomniał w tej chwili o wszystkim, a krew kipiała w nim jak lawy wulkanu, gdy patrzył na tę kobietę, co miała tyle czaru dla niego.

— Ej, to tylko niemiła rozmowa z hrabią Buchenau — wyszeptał książe płomienny, nie nasycony.

— Klara zadrżała. Lotem błyskawicy przeszły straszne myśli przez jej głowę. Może Buchenau opowiedział księciu, może wspomniał o Elwirze, może na razie nie usłuchano go, ale co będzie, jeżeli powtórzy i znajdzie wiarę? Więc trwożna, ale panująca nad sobą, spogląda Klara na księcia i ku wielkiej radości widzi na jego twarzy, w jego oczach, tylko pożądlivości, tylko zaślepienie, tylko namiętność. Minęły obawy wszelkie, tryumf zaigrał na ustach lubieżnicy i pokrył je wilgocią namiętności, a książe ssał z tych ust truciznę swego życia i hańbę swego imienia.

Wyrwał się z objęć i pospieszył na plebanie.

Tu już był Łukasz, z polecenia księcia, z wezwaniem, aby pleban przygotował się do dania ślubu. Pleban wyprosił Łukasza z niczem właśnie w chwili, gdy książe do probostwa się zbliżał.

— Proboszcz odmawia — rzekł Łukasz, wybiegłszy czempredzej naprzeciw księcia.

— Co? on śmie? wrzasnął książe i wpadł do plebanii wściekły z gniewu.

Proboszcz przyjął go zupełnie spokojnie, poważnie i rzekł:

— Ubolewam, że nie mogę spełnić życzenia waszej książęcej mości.

— Dlaczego? — spytał książe opryskliwie.

— Bo mniemam, że ten ślub sprzeciwiać się musi woli najjaśniejszych państwa.

— Jestem pełnoletni, a prawo dozwala żenić się każdemu pełnoletniemu bez pytania o zezwolenie rodziców.

— Istotnie, tak jest, ale owa osoba, którą wasza książęca mość poślubić zamierza, jest mężatką, zatem...

— Osoba, którą poślubić zamierzam jest wdową, o czym wie kraj cały z gazety urzędowej.

— To mi nie wystarcza. Wedle przepisów prawa, musi owa osoba przedłożyć akt zgonu swego męża.

— Zamiast tego aktu, ja daję moje polecenie i biorę za wszystko odpowiedzialność. A teraz domagam się stanowczo ślubu, do czego mam zupełnie prawo i czego mi nikt odmówić nie może.

— Uczynię to, ale zastrzegam się, że czynię pod przymusem, zniewolony stanowczą wolą i rozkazem waszej książęcej mości.

Wnet po tem zdążyła karetka dworska z gospody do kościoła, a za nią książe na koniu, z orszakiem służby, którą dowodził Łukasz.

Przed kościołem tłumy ludzi gapiły się na widowisko tak niezwykle. Orszak ślubny zatrzymał się przed kościołem. Klara wysiadła z karety i spojrzęła na tłumy ze wzgardliwą wyniosłością; za Klarą szła wystrojona Róża. Za księciem podążał Łukasz z dwoma lokajami.

Już właśnie skończył się obrzęd zaślubin, już orszak zwracał się ku wyjściu, gdy przed kościołem powstał gwar, rozległ się tentent koni, usłyszano szczęk broni. I w jednej chwili wkroczył do kościoła oddział wojska pod dowództwem oficera, który zdążył szybko ku ołtarzowi.

— Co to znaczy? — zapytał książe.

— Mam rozkaz uwięzić panią Sternegg — odpowiedział oficer.



...Ani drgnęła pod naciskiem silnej dłoni księcia...

— Spóźniłeś się pan, bo pani Sternegg już nie ma, a ta oto pani jest moją żoną.

— Oficer spojrzął ze zdumieniem na księcia, z pogardą na Klarę i rzekł sucho, urzędowo:

— Skoro tak, wracam natychmiast, by zdać raport najjaśniejszemu panu.

— Uczyn pan to. Ale pamiętaj pan, że do następcy tronu nie przystępuje się bez jego zezwolenia i wezwania.

— Spełniłem rozkaz najjaśniejszego pana, więc wasza książęca mość u tronu uzalić się na mnie raczy, jeżeli uznaje za stosowne ganić moje postępowanie.

Oficer uklonił się służbowo i wyszedł. Za chwilę popędził cwałem do stolicy, na czele oddziału huzarów.

Klara o mało nie zemdlęła. I znowu widma czarnych myśli wynurzyły się przed nią. Uspokoił ją książe, podał jej ramię, wsadził do karety — odjechali i tłumy pyłu oddzieliły ich od wiejskiej gawiedzi.

Przeciw woli matki.

Księżniczka Elza uwiadomiła matkę o tej rozmowie księcia z Judytą, której była mimowolnym

świadkiem w czasie balu dworskiego. Nie tała oburzenia i wręcz oświadczyła, że zerwie wszelkie z księciem stosunki.

Księżna, widząc energię córki i nie chcąc jej podniecać surowością, uspakajała księżniczkę, wymuszała z siebie tkiwość i delikatność macierzyńską. Wreszcie wyjednała tyle, że księżniczka przyrzekła czekać cierpliwie, dopóki matka całej sprawy nie załatwodzi, dopóki książe nie usprawiedliwi się, nie przeprosi i nie zmieni. Tymczasem unikała dworskich zebrań, aby się z narzeczonym nie spotykać, a ile razy przybył w odwiedzinę, zawsze wymawiała się od nich jakimś cierpieniem, lub przyjmowała księcia o tyle tylko, o ile etykieta dworska niezbędnie tego wymagała.

Osamotniona, z sercem złamanym, z urażoną godnością własną, lgnęła jeszcze bardziej do swej jedynej przyjaciółki, powiernicy i pocieszycielki. A panna Warburg kochała księżniczkę jak siostrę, czcila jak męczennicę.

Nie zapomniała Elza o biednym Walterze. Teraz, gdy go usunięto, jeszcze bardziej za nim tęskniła. Niepokoiła się o niego, chciała się dowiedzieć, gdzie jest, co się z nim dzieje. Im bardziej oburzała się na księcia i zniechęcała ku niemu, tem silniej odzywała się w jej sercu miłość Waltera. Ale wszelkie zabiegi panny Warburg, aby dociec, dokąd malarza wywieziono, były niestety daremne. Wiedzano, że losem jego zajął się marszałek Wurm, ale co z nim uczynił, gdzie go umieścił, od nikogo nie można było się dowiedzieć. Więc rosły cierpienia księżniczki, a w miarę tego i niechęć do księcia.

Na tak zboląłą duszę padł teraz cios straszny, a to wiadomość o morganatycznym ślubie narzeczonego z awanturką. Była to zniewaga ciężka, zuchwała, beczelna. Tego już było za wiele. Pospieszyła do matki wzburzona, zbolęła, ale skupiona w sobie, energiczna, stanowcza. Księżna domyśliła się na widok córki, że księżniczkę uwiadomiono o wszystkim, mimo najsurowszych zakazów. Uznała, że będzie trudne zadanie uspokoić obrażoną, więc zdobyła się na niezwykłą u siebie cierpliwość, spokój i czułość.

— Pojmuję to, moje dziecko, że cię ta niemiła awanturka uraziła, ale nie trzeba sobie rzeczy wyobrażać tragicznie — rzekła księżna w toku rozmowy z córką, — bo to chwilowe zapomnienie, ot coś takiego, na co się właśnie uwagi zwracać nie powinno.

— Ależ mamo! my się nigdy wzajemnie nie zrozumiemy. Ja pojmuję małżeństwo jako wynik wzajemnej miłości, jako zaspokojenie uniesień serca i jego pragnień, a słyszę wciąż z ust twoich, że małżeństwo jest wynikiem pewnych konieczności towarzyskich, jest skutkiem rachuby z życiem i jego wymogami, jest prostoprostu kontraktem handlarskim.

— Uwzględniam, że jesteś rozdrażniona i nie chcę ci przerywać, lecz zwracam ci uwagę moje dziecko, że w naszych sferach można lubić poezję w książce, ale nie w życiu.

— Ależ nie poezji bronie, nie uroję jakichś, jeno prostej, zwykłej uczciwości. Jakże przysięgać przy ołtarzu miłość, jeżeli się ma tylko wstręt i pogardę. Ale chcieliście tego, chcieliście uczynić ze mnie ofiarę rachub dynastycznych, uległam, zламаłam serce, zgodziłam się na zaręczyny z człowiekiem, którego nie kocham. Z serca uczyniłam ofiarę, ale nie uczynię jej z godności własnej. Nie, nie.

— Zapomnij o tem. Ferdynand porzuci tę kobietę; wszak to ślub morganatyczny, a potem będziesz jeszcze bardzo szczęśliwą żoną.

— Mam zostać następczynią takiej kobiety! Matko! co ty mówisz? Matko! gdzie wstyd, gdzie cześć kobieca, gdzie poczucie godności?

— Zapominasz się, moja droga — rzekła księżna, tracąc cierpliwość.

— O nie, nie. To nie zapomnienie, to pełna świadomość upokorzeń, na jakie mnie naraziły te układy rodzinne. Ale się im nie poddam. C. d. n.